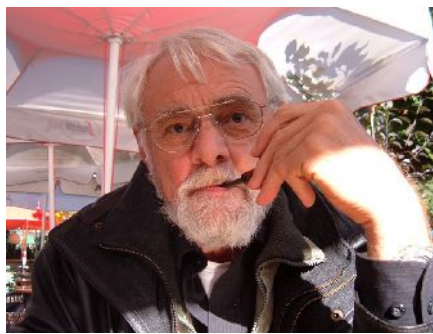


## Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

## Głęboka ciemność złego snu (1)

Myślę, że nie ulica, ale takie miejsca są obrazem emigrantów. Wtedy w Konsulacie właśnie Rudnik, ten pisarz, jak się przedstawił swoją rzeczywistość wygadana elokwencją coś nam powiedział, coś wyjaśnił, mianowicie to, że ta cała nasza ojczyzna, którą opuściliśmy w ten lub inny sposób, właśnie ona zależy od kąta jej widzenia i przeżywania. On już dawno wyparł się jej, gdyż ona wyparła się pierwsza jego, wkładając mu na siłę do ręki paszport w jedną stronę. Myślę, że mówił to wyłącznie do mnie, posiadacza takiego samego paszportu:

– Na emigracji, bracie, powtórnie należy sfunkcjonalizować swój rodowód. Odciął ci dopływ krwi. Nie sztuka jest być tym, kim się jest. Sztuka być tym, kim chce się tu być. Tacy jak ty będą tu szukać siebie w tej emigracyjnej płazce i w kamieniu każdego dnia pobytu tutaj, tak z wami będzie aż do zasranej śmierci.

– Uważasz zatem, że sceptycyzm i agnostycyzm ojczyzniany są takimi koniecznymi stopniami wiary, wiary w siebie, we własną osobowość i pochodzenie?

– Właśnie tak! Aby uwierzyć tu w siebie, należy najpierw dojść do całkowitej niewiedzy o sobie. To pomaga przetrwać, przynajmniej te pierwsze lata tułaczki i wyobcowania. Kiedy to wypocisz z siebie, pracując w jakiejś garkuchni lub zbierając kamienie z pola u jakiegoś bauera, pozwoli ci to zostać i zapomnieć, gdzie się urodziłeś i kim byłeś. Takim profesorkiem, nauczycielem, dziennikarzem, czy takim skrabipiórkiem jak ja.

Zadziwiająco, ile było w nim wiary w siebie i pewnie z tego powodu powinienem go podziwiać. Chciał zagłuszyć we mnie moją nietrwałość i kruchość. Ale wołał trochę skrzeczącym głosem w tę moją przestrzeń egzystencjonalną, o ile coś takiego dźwigałem w sobie. Cholera, oto stał się moim tu przywódcą, prorokiem. Wiedziałem, że jego sąsiadka Uschi uczyła, go niemieckiego. Wyrażał się o niej... chora alkoholiczka, lekko stuknięta. Widziałem ją parę razy u jego boku

w różnych sytuacjach. Herr Rudnik, mnie nie interesuje twój los i twoje traktowanie emigracji, twoja kondycja bytu na wygnaniu. Oczywiście mierzył go patos w jaki sposób różni tacy uchodźcy przedstawiają swoje sprawy na obczyźnie, przyprawiając przy okazji krzywy gębę rodakom. Zapewne trwanie pod obcym niebem pośród upokorzeń, to gorsze od siedzenia w więzieniu. Jeden z takich emigrantów w swoim wierszu pytał, ile twarzy ma ojczyzna. To ty mnie stworzyłaś na swój wzór i podobieństwo, a ja nawet gdybym chciał cię zdradzić, nawet nie umiałbym tego uczynić. Obca ziemia, obce niebo nad łbem, obcy ludzie. I my pomiędzy kołem młyńskim a świętą papką wody, która nas porywa, miele, wyciska z nas soki. Ode-rwaliśmy się jak ptaki u gniazda.

Ten cały Rudnik był takim kpiarzem, ale kpiarzem nieobojętym na śliską pochylnię naszej tu terażniejszości i przyszłości. Czas pokaże jak z nami będzie. Czas, który jest surowcem naszego życia i każdy z nas będzie musiał z tego surowca ulepić sobie coś innego, coś własnego. Ojczyzna została gdzieś tam, leży cała w gruzach, które przygniatają rzeczywistość. I ta rzeczywistość będzie ciągle odbudowywana, jak to już bywało. I znów tę rzeczywistość zasypią gruzy, zatem istnieje pytanie, czy nie lepiej, gdyby zostawić ją spokojnie pod gruzami? Sponiewierana, ciągle kopana w zadek. Mój Boże, dlaczego?

Hamburg trwał cały w szkle deszczu. Wracałem piechotą z Konsulatu przemoknięty do suchej nitki. Było dawno po północy i kolejka metra nie jeździła. Było mokro i chłodno. Szukałem siebie w tej pustce i ciemności. Ma rację ten cały Rudnik; gdzie jesteśmy i dokąd idziemy. I nic mądrzejszego nie wymyśliłem tej nocy. Zacząłem żyć po prostu na innym piętrze. Nie ważna jest kamienica, nazwa ulicy przy której ona stoi. Danzigerstrasse, czy ulica Gdańska. Coraz mniej muszę mnie dotykać tego rodzaju skrzywienia. Żyję na innym piętrze.

Uschi sprawiała wrażenie małąki-śmieszki tkwiącej na ramieniu jej właściciela. Jest nadzwyczaj sympatyczna, powtarzała, aczkolwiek lekko stuknięta. Być może na tle pisarza z Polski. I jako pisarz, prawdopodobnie był już po pierwszej swojej powieści. Rudnik po prostu chciał, abyśmy stali się tu kimś innym. Każdy na swój sposób. Pewnie znał takich, którzy mu się starali wymigać, pozwalając sobie obnosić się tu ze swoją polskością, która na gwałt w obecności Niemców tłamsili, milknąc w kolejce metra, ale w kieszeni mając dwie zaciśnięte pięści. Byli tacy, co usiłowali swój niemiecki na siłę upiększać. To taka z ich strony ochronna, aplikacja gdyby co. Żle wychodzili na tym osobistym portrecie, ku uciechu spotkanych Niemców. W ich oczach trudno była zauważyć pogardę, czy zaskoczenie. Po prostu dawano im to poczucie, że są u siebie, czy zaskoczenie. Cholera! Chyba się zgubiłem w tym mieście. Na ulicach nie było nikogo, żeby spytać. I nikt nie wychodził z mijanych najp pełnych oblubieńców piwa. Dobrze, niemieckie piwo. Dobrze oświetlone niemieckie miasta, fabryki kolorowych światel, a ja się błąkam. A przecież zdążyłem już dobrze

poznać to miasto.

Od dwóch dni mieszkam u córki. Żona została w innym mieście, sto dwadzieścia kilometrów stąd. Musiałem być w Konsulacie, bo mnie zapraszają. Rudnika, także i jeszcze paru innych. Jesteśmy swoi. Mamy coś w sobie, co przytaskaliśmy tu z kraju, w którym miało dużo się zmienić, ale nie zdążyło. Rudnika gównem to obchodzi. Jest tu sam na sam ze sobą. I ma tę Uschi. Tacy jak ja, mają na głowie tę swoją ojczyznę porzucaną, która też nas porzuciła, odrzuciła. Czym mi ona? Czy nadal moja, ojczyzna? I niech Rudnik mówi sobie co chce. Należy zachowywać się tu godnie. To tylko tryb awaryjny, chwile postaju. Jeżeli postój, to dlaczego ja ciągle idę? Zbłądziłem, cholera. Ani się wrócić, ani iść do przodu. A noc głęboka, mniej teraz roziskrzona neonami. Obce napisy. Może tak wrócić do konsulatu, żeby mi wyjaśnili, jak iść dalej...

Ale urzędnicy z całą pewnością już spali. Myślałem, oto całe moje życie ciągle gdzieś gubiłem. To tak, jak gdyby człowiek sam się utracił, zniknął z własnych oczu. I pewnie dlatego tak było ze mną, że zawsze ciągnęło mnie w różne strony, może właśnie tam, gdzie mnie nie było. Oczywiście tego z też powodu miewałem różne kłopoty i zmartwienia. Tak było po tym autorskim spotkaniu z rodakami w tym Konsulacie w miesiąc potem, jak wybraliśmy się w tym mieście-molochu na pasterkę. W miasteczku, w którym mieszkaliśmy, ta podniosła uroczystość odbywała się późnym popołudniem. Nie lubią sobie posiedzieć przy wigilijnym stole, jakże innym w wystroju, niż nakazuje nasza tradycja, nie wspominając już, co na tym ich wigilijnym stole królują. Akurat w tym niemieckim kościele polscy księża z Misji Katolickiej odprowadzali pasterkę normalnie o północy. Cieszyliśmy się z tego powodu, bo tak nakazywała nasza tradycja. Kościół był pełen rodaków, ale byli też i Niemcy o katolickiej duszy, których pociągały polskie tradycje tego niezwykłego święta. Uduchowieni w rozterce, bo należało przywitać się ze znajomymi, złożyć im życzenia, przegapiliśmy tych przyjaciół, którzy mieli nas zawieźć samochodem do domu. Zapomnieliśmy też o tym, że o tak późnej porze już nie kursowało metro. Plac przed kościołem był pusty i przed nami była ta bezwzględna konieczność udania się do domu córki piechotą. Zimowa aura nie była nam przychylna, wiało jak diabli od morza, stąd jakiś czas spędziliśmy w budce telefonicznej. Nikt nie odpowiadał na nasze telefony, ani córka, ani kierowcy postaju taksówek. W końcu skończyły nam się drobniaki, które połykał automat. Następna budka telefoniczna była na karty, ale te zostały w domu. W drażnej ciasnocie pocztowej budowli było nawet ciepło i przytulnie, ale do czasu. W tej złowieszczej monotonii, przemarznięci do szpiku kości, w tym mdłym świetle wiszącej u sufitu neonówki, wyglądaliśmy z pewnością jak nocne zmary, które mogły wystraszyć późnonożnego przechodnia, ale takich nie było.

cdn.

**Kazimierz Ivosse**